

Tadeusz Nowak

Wspomnienia z lat 1939-1945

Rok 1939

Hitler grozi wojną. Już w lipcu powołano rezerwistów do pułku. W pełnym uzbrojeniu wyruszamy w pole. Pułk rozlokowany w namiotach nad Kanątem Bydgoskim. Budujemy schrony i okopy. Ja dostałem kwaterę w szkole (u kolegi Paszkiewicza). Żołnierze ścinają drzewa i budują schrony. Jest piękna pogoda. Buduję duży schron – nadzoruję – pomaga mi podchorąży. W lesie pięknie. Żołnierze zwożą kłoc drewna i pracują. W czasie wolnych chwil prowadzę wykłady dla całej kompanii.

15 sierpnia '39

Zwolniono oficerów rezerwy do domu. W radio słuchamy, jak Hitler drze się – grozi wojną.

1 września '39

Wreszcie mobilizacja. Wczesnie rano jestem na dworcu. Wielu rezerwistów w pociągu. Na dworcu w Inowrocławiu oczekuje kilku kolegów – oficerów. Idziemy do pułku – sami rezerwiści. W pułku przebieramy się w mundury. Żołnierzom rozdzielamy broń i amunicję. Znow jestem w komp. CKM. Dowódcą jest porucznik Łykowski – nauczyciel. Jestem dowódcą 1 plutonu CKM. Nocujemy w szkole wydziałowej. Jest nalot – strzelamy salwami. Wieczorem opuszczamy Inowrocław – maszerujemy do Torunia. W dzień odpoczywamy w lesie. Jest cicho i ciepło – gruba pokrywa mchu, śpimy jak w puchu. Dnia 6.09 jesteśmy już daleko na północ od Torunia w lesie. Grzmią armaty i czołgi. Przed nami już tylko hitlerowcy.

7 września '39

Rano decydują się nas zaatakować. Prócz CKM posiadamy armatki przeciwczołgowe. I tu kończy się ich atak. Klęska. W wiosce przed nami słychać czołgi. Dowódca wysłał nocą patrol na zwiady. Prócz dowódcy jest nas trzech oficerów w kompanii. Ustalamy kolejność patrolu. Jako pierwszy

idzie na patrol dowódca trzeciego plutonu. Następnie moja kolejka. Noc spokojna, księżyc świeci. Idziemy lasem. Po przejściu około 2 km wpadamy na patrol hitlerowców. Idą w ruch karabiny i granaty. Padam na ziemię i czuję ciepło w nodze. Nagle cisza i z jednej, i z drugiej strony. Po cichu wycofujemy się. Na miejscu naszego wyjścia już alarm. Kompania otrzymała rozkaz – do przodu. Sanitariusz bandażuje mi nogę. Żegnam się z dowódcą. Zabieram swojego żołnierza, ten wsadza mnie na ramę roweru i kierujemy się w stronę Torunia. W Toruniu już nasza armia w odwrocie. Jeżdżą samochody wojskowe w stronę Inowrocławia. Zatrzymuję samochód. Żołnierzowi daję rower i każe wracać. W samochodzie kapitan – kurier – uprzedza mnie, że wiezie ważne dokumenty do sztabu. Nadmieniam, aby w razie zasadzki teczkę z dokumentami zniszczyć.

Mijamy szczęśliwie lasy i przed nami Inowrocław. Tu na przedpolu w tyralierze działa i w pogotowiu artylerzyści. Przewiół mnie do szpitala. Tu już wielu rannych. Bandażują mi nogę. Kładę się do łóżka. Nie mogę zasnąć. Nad ranem w szpitalu wielki ruch. Pytam pielęgniarkę – co to oznacza? Odpowiada – uciekamy, bo dzisiaj będą tutaj hitlerowcy. A mnie chcecie zostawić? Jestem w piżamie. Chwytam swoje rzeczy i pielęgniarka prowadzi mnie na dwór. Przed szpitalem stoi już

zapełniony załogą szpitala autobus. Autobus rusza – ubieram się w autobusie. Po kilku godzinach jazdy jesteśmy w Żychlinie. Tu w szkole urzędowo szpital wojenny. Pozostałem dwie doby, a stąd karetką Czerwonego Krzyża odwieziono mnie do Warszawy. Stolica w ogniu. Na stacji transport baloniarzy ze sprzętem – ewakuują się do Rumunii. Oficerowie zabierają mnie na transport jako gościa – obdarowują różnymi łakociami, a żołnierze rzucają mi jeszcze bochen żółtego sera. Transport rusza, a około 20 km za Warszawą nadlatuje 9 bombowców – zaczyna się piekło. Lokomotywa trafiona. Baloniarze strzelają z CKM. Żołnierze rozbiegają się od pociągu. Dwóch oficerów – biorą mnie pod ramię i odsuwają od torów. Leżę w ziemniakach i obserwuję, jak ziemia rwie się od wybuchów bomb. Koniec jazdy – wszędzie popłoch. Nieopodal las – stamtąd słychać strzelaninę, to prawdopodobnie spadochroniarze hitlerowscy. Oficerowie opanowują popłoch i tworzą bojowy front.

Nawinął się wojskowy wóz. Otrzymuję go do swojej dyspozycji. Wsiadam i kieruję się na wschód. Po dwóch dniach dojeżdżam do Włodawy nad Bugiem. Znow w szpitalu wojskowym. Niestety i tu nie zagrzałem na dłuższy czas miejsca. Pewnego dnia przychodzi adiutant dowódcy pułku i prowadzi mnie do dowódcy. Pułkownik wręcza mi kartę – spis 144 rannych żołnierzy. Mianuje mnie dowódcą transportu i mówi: Nasz pułk się ewakuuje – prawdopodobnie jutro mogą nas zatakować hitlerowcy. Rannych poprowadzi pan do Kowla. Organizuję transport wozami. Niestety większość chłopów uciekła z końmi do lasu. Zebranych wozów starczyło zaledwie dla połowy rannych. W koszarach otrzymaliśmy obiad. Pobrałem prowiant dla ludzi i owies dla koni. Udaję się złożyć pokwitowanie. Prowadzą mnie dwie sanitariuszki, młode dziewczęta, uczennice – ochotniczki. Nadjeżdża autobus – zapełniony kanarkami – zatrzymuje się przede mną. Wyskakuje kapitan i woła: chodź, siadaj, zabierzemy ciebie, jedziemy do Rumunii. Byłem zaskoczony. Jedna z moich sanitariuszek wyskakuje przede mną i mówi: Czy pan porzuci rannych i pojedzie z nimi?

Jedźcie dalej, ja zostaję z rannymi. Zbliża się wieczór, transport gotowy. Na wozach starczyło

zaledwie miejsca dla tych, co nie są w stanie iść, a reszta pieszo. Zrazu mały bunt. Tłumaczę, że nie mamy innego wyjścia, a za kilka godzin przyjdą tu hitlerowcy. Następuje zrozumienie. Ruszamy wolno jak z pogrzebem. Po drodze w miejscowości Parczew zastaje nas nalot. Ruszamy dalej. Dłuższy odpoczynek i popas dla koni robimy nad jeziorem Świtaż. Pogoda piękna i jest ciepło. Po odpoczynku ruszamy w dalszą drogę. Jadę w pierwszym wozie. Obok mnie lekarz – młody podchorąży i dwie sanitariuszki. Ponadto wieziemy z sobą pobrane z Włodawy konserwy. Na szosie nie ma tłoku. Mija noc, gdy zaczyna się dzień, zjeżdżamy do lasu, aby posilić rannych i przecześć na zachód słońca. W dzień krążą hitlerowskie bombowce. Po dwu dobach przyjeżdżamy do miasta Kowel. Szpital znajduje się w pobliżu dworca. W szpitalu melduję, że przytransportowaliśmy rannych. Wita mnie naczelny lekarz – major. Jego słowa na powitanie: „po jaką cholere was tu przysłano, jak wam tam bomby nie spadły na głowy, to tu możecie się ich spodziewać”.

Zaledwie kończymy rozmowę, słychać alarm. Wyją syreny. Rozpoczyna się piekło. Konie się płoszą. Obserwuję, jak bryły węgla przyskają w powietrze (w pobliżu było składowisko węgla). Kończy się nalot, decydujemy się uciekać za miasto. Kierujemy się na wschód. Po kilku godzinach jazdy dojeżdżamy do lasu. W lesie wielki ruch – biwakują tu piechurzy. U nich pora obiadowa. Na drzewie wisi zarżnięta krowa, a obok pokazna świnia. Kucharze przy kotłach. Dowództwo przyjęło nas gościnnie. Wszystkich obdarzono gorącym obiadem i zaopatrzone nas na dalszą drogę. Przed odjazdem jeden z naszych wozaków szepce mi do ucha, że wśród wozaków dwóch jest Ukraińcami i zmawiali się, że przy okazji uciekną z końmi, bo w pobliżu są ich rodzinne wioski. Uzgodniłem z dowódcą i w zamian dał mi swego żołnierza. Żegnamy serdecznie piechurów i po dwóch dobach jesteśmy pod miastem Łuck. Rankiem wjeżdżamy do dużej wioski (ukraińskiej). Tu są duże, piękne sady – wszędzie widać uprawę chmielu, co jest charakterystyczne dla tej okolicy. Rozmieściliśmy się w dużym ogrodzie. Na nasz przyjazd w wiosce wielki ruch. Żołnierze posilają się owocami. Gromadzi się wielu ciekawskich –

kobiet i dzieci oraz mężczyzn w cywilu, w wieku 20–35 lat, którzy powinni być w mundurze. Jeden zaproponował mi nawet, żebym mu sprzedał pistolet – otrzymał należną odprawę. Gdy nagromadziło się wiele gospodyń, prosiłem o chleb dla rannych – niestety – odpowiedź: „nie mamy, nie mamy”.

W pobliżu na kartofliskach gromady kur, a na kilku wozach nasi wozacy posiadali RKM-y. Kazałem oddać kilka salw i kury gotowe. W gospodarskich kotłach zagotowali wodę i zaparzyli kury, a ziemniaki były opodal. Już po obiedzie obserwujemy szosę i widzimy – ruch uległ zmianie. Wozy od strony Łucka jadą na Zachód. Wreszcie jeden wóz od szosy zbacza i kieruje się do naszego sadu. Schodzi z wozu kapitan. Żołnierze prowadzą go do mnie. Ów kapitan odwołuje mnie na stronę i mówi: Słuchaj, bolszewicy zadali nam sztylet w plecy, już są w Łucku, kulbaczcie konie i uciekajcie. – Dokąd? Przecież uchodzimy przed hitlerowcami. Zresztą nasze konie już kuleją, to daleko nie zajedziemy. – To siadaj na mój wóz! – Ja rannych nie zostawię. Zaciął konia i pojechał.

Porządkujemy nasz postój. Wszyscy na wozach i ruszamy. Kierujemy się na Łuck. Nad nami ukazuje się samolot z czerwoną gwiazdą, rzuca ulotki. Dziewczyna pasąca nieopodal krowy chwytą ulotkę. Posyłam żołnierza, aby przyniósł tę ulotkę. Żołnierz prowadzi dziewczynę – nie chce oddać! Ładuję dziewczynę na mój wóz – teraz oddaje kartkę. Czytam odezwę: „przychodzimy uwolnić was od polskich panów. Niesiemy wam pracę i chleb”. Konsternacja – co teraz robić? Na drodze robimy naradę – nasz lekarz: „przecież z bolszewikami nie prowadzimy wojny”. Postanawiamy jechać do Łucka. Przed nami około 10 km drogi. Wyjeżdżamy na szosę i dalej w stronę Łucka.

19 września '39.

Około 5 km przed Łuckiem na szosie i w tyralierze z lewej i prawej strony od szosy stoją radzieckie czołgi. Przed czołgiem radziecki czołgista – daje znak. Stajemy. Nasz podchorąży tłumaczy, że to transport rannych. Dają znak ręką – jechać dalej! Jestem zdziwiony z takiego spotkania. Przejżdżamy przez most na rzece Styr. Żołnierze rzucają broń do rzeki. Na przedmieściu dopiero

właściwe powitanie. Tłum Ukraińców i Żydów z czerwonymi opaskami szturmują nasze wozy. Zaczynają ściągać rannych z wozów. Na mój wóz wskakuje jeden z czerwoną opaską – odpina mój pas i ściąga mój pistolet – szybko chowa do kieszeni, a pas rzuca na wóz. Na chodnikach zbiegowisko. Spoglądam spod furazętki – co będzie dalej? Widzę dużo Polek i dzieci, które obserwują nasze powitanie. Wreszcie jakiś oficer Sowiet nie pozwala na samowolę. Jeden z żołnierzy radzieckich wchodzi na mój wóz i prowadzi transport. Wiozą nas do jakiejś wielkiej Sali, w której było wielu rannych żołnierzy.

Na drugi dzień znów transportują nas do innego gmachu. Teraz już nas posegregowali. Znalazło się nas około 100 oficerów różnej rangi. Tutaj traktowano nas grzecznie. Przychodzili oficerowie radzieccy. Spisywali nazwiska i stopnie obecnych oraz zaznaczali: „jesteście pod opieką Międzynarodowego Czerwonego Krzyża”. Przepraszali, że na razie nie mają dla nas odpowiedniego utrzymania, ale o wszystko się postarają. Każdy będzie otrzymywał należny mu żołd. Z jęzieniem była bieda. Jak jednego dnia przywieźli śledzie, to brakowało ziemniaków i odwrotnie. Wielu zaczęło chorować. Zachorowałem na czerwonkę. Po kilku dniach osłabłem. Leczył i starał się o mnie nasz lekarz kapitan, nazwiskiem także Nowak, rodem z Poznania. Raz zjawiała się także radziecka komisja lekarska. Uznali, że to może być tyfus, więc wyłączono mnie z głównej sali. Otrzymałem miejsce w ubikacji, gdzie sprzątaczkę chowają miotły. Strasznie zimno. Mój opiekun postarał się i po kilku dniach przewieziono mnie do szpitala dla zakaźnych. Gdzieś na peryferiach ul. Kopernika. Wreszcie ciepło i opieka cywilna. Na mojej sali leżą przeważnie bieżący chorzy na tyfus, często wynoszą ich łapiduchy. Za pożywienie otrzymywałem tylko jabłka. Po kilku tygodniach już jabłek miałem dość popękały mi dziąsła od kwasów. Dalej karmiono mnie jabłkami, ale już tartymi. Spokojna atmosfera nowej Sali zmieniała się od chwili, kiedy Polacy zrobili przeciwuderzenie, aby mieć swobodną drogę do Rumunii. Do naszego szpitala przywieziono żołnierzy sowieckich. Już naczelnym lekarzem jest Sowiet, a także część obsługi się zmienia. Wiedzieli, że jestem oficerem, więc

przydzielono dla mnie opiekuna – jednego z rannych Sowieców, który codziennie mnie odwiedzał. W okresie mego pobytu w tym szpitalu miałem trzech takich opiekunów. Jeden z nich, młody żołnierz, był nawet bardzo miły. Często siadał na moim łóżku i śpiewał. Chciał się nauczyć kilku słów po niemiecku, a mnie uczył po rosyjsku. Inny znów był wredny – pokazywał, jak to on będzie strzelał polskich panów. Gdy wchodził do naszej sali, odwracałem się w łóżku, więc lufą szurał mi po żebrach, żebym się do niego odwrócił. Tak mijają tygodnie. Jak zwykle odwiedziny chorych (...) Poparzył naczelną na moją kartę i poszli dalej. Przed wieczorem zjawia się przy moim łóżku były dyrektor Zawidzki i mówi: uznali pana za zdolnego do transportu i jutro pana wywozją – z naszymi oficerami jest niedobrze. Dzisiaj musi się pan wymknąć. Odpowiadam – mam tylko koszulę na sobie. Odszedł. Robi się wieczór – przychodzi do nie pielęgniarka, przynosi moje rzeczy, pomaga mi się ubrać. Wyprowadza mnie na podwórze i wskazuje mały domek – tam mieszkają Polacy, u nich dostanie pan schronienie. Na drogę wręcza mi mały tobołek – to jest pół chleba i trochę boczku. Żegnam (już starszą) pielęgniarkę. Szpital otoczony wysokim płotem z desek. Wchodzi na stół (krzesło i stół ustawione przy płocie) i za chwilę jestem po drugiej stronie. W domku liczna rodzina, ale gościnna. Miejsca tu dużo nie ma. Na noc przynoszą mi snop słomy i układają pod piecem. U tej rodziny przebywałem trzy doby. Przesuwali się w tym domu różni ludzie, przeważnie uchodźcy. Jeden z naszych policjantów radził, żebym się udał w stronę Ołyki (10 km), tam znajdę sierociniec, który jest prowadzony przez siostry zakonne. Pożegnałem gościnną rodzinę, chłopcu dałem furazerkę, w zamian dostałem czapkę. Wcześniej rano wybrałem się w drogę, szukać nowego lokum. Pod wieczór dotarłem do sierocinca. Siostrą przedstawiłem legitymację nauczycielską i uzyskałem nowe lokum. Na utrzymaniu miały już 8 żołnierzy. Nasza kwatera mieściła się w dużej piwnicy – tam było ciepło.

Do rodziny sierocinca należał jeszcze ksiądz i kierowniczką – nauczycielką. Ksiądz sprezentował mi jesionkę – więc byłem już cywilem. Siostry były dobrze zaopatrzone w mąkę i miód.

Piekły chleb i mieliśmy co jeść. Nauczycielka miała dobre stosunki z inspektorem szkolnym – Sowietem, który raz przyjechał na lustrację. Nauczycielka przedstawiła mnie i moje warunki. Ów zaangażował mnie z miejsca do pracy. Na drugi dzień byłem w Łucku u inspektora. Tam otrzymałem angaż na nauczyciela i kilka złotych na życie. Posadę miałem w Bryszcze gmina Kniahiminek. To jest wioska Niemców wołyńskich. Uczył tam młody nauczyciel Niemiec nazwiskiem Jedan. Posadzał mnie, że jestem nasłanym bolszewikiem.

Na podstawie zawartego 10-letniego sojuszu pomiędzy Hitlerem a Stalinem przyjechała z Niemiec komisja i zabrała wszystkich Niemców wołyńskich do Vaterlandu. W wiosce pozostało się tylko kilka polskich rodzin, a na gospodarstwa po Niemcach przyjeżdżali Ukraińcy i Rosjanie. Przed odjazdem Wołyńców do Vaterlandu urządzali codziennie zabawy. Jedan uczył dzieci niemieckich pieśni. Każdy Wołyńnian miał prawo zabrać jedną parę koni, a na wóz zabrać ile tylko uwiezie. Kto nie posiadał własnych koni, to komisja niemiecka kupiła mu konie. Wszyscy mężczyźni już pojechali wozami, a kobiety i dzieci odjechały później koleją.

Szkoła opustoszała. Przeniósłem się do polskiej rodziny, a po kilku dniach wyruszyłem na Zachód. W okolicy Uściługu przekroczyłem Bug i po kilku dniach znalazłem się w Łodzi na ulicy Srebrzyńskiej, u brata Janki [żony – *przyp. red.*] Kazimierza. Jako kolejjarza pozostawili go Niemcy na miejscu. Jego rodzina – cztery osoby, a Kazimierz był bez pracy. Mój brat Kazimierz postarał się dla mnie o dokumenty na szewca. Tu w Łodzi zarejestrowałem się fikcyjnie, że pracuję. Brat z Poznania ratował mnie finansowo. Wreszcie sam zacząłem kombinować. Hitlerowcy urządzili dla siebie sklepy dobrze zaopatrzone „tylko dla Niemców”. Wchodziłem bezczelnie do hitlerowskiego sklepu i po niemiecku żądałem 1 litr Schnaps. Płaciłem 3 marki, a żona mojego gospodarza sprzedawała na czarnym rynku po 6 marek za litr i tak utrzymywałem naszą rodzinę. Po kilku tygodniach skontaktowałem się z żoną. Mieszkała nadal w Chrośnie nad Gopłem. Janka otrzymała przepustkę i odwiedziła nas w Łodzi. Przywiozła trochę moich rzeczy osobistych. Dowiedziałem

się, że w Chrośnie nie mam prawa się pokazywać, bo hitlerowcy czekają na mnie – przed wojną prowadziłem przysposobienie wojskowe. Zresztą do Chrosny już nie mam po co wracać, bo kilka dni hitlerowcy robią w domu kontrolę i kradną co się da, a meble wywieźli do Kruszwicy. Janka przywiozła mi adres do brata, którego hitlerowcy wywieźli z Poznania do Warszawy.

W Łodzi hitlerowcy szaleją – „kończą” Żydów. Na ulicach robią łapanki i Polaków wywożą do Niemiec na przymusowe roboty, a inteligencję do obozów koncentracyjnych. Na domach plakaty, żeby ukrywający się oficerowie zgłosili się do rejestracji (za niezgłoszenie się kara śmierci). Z Kazimierzem wyszliśmy raz do miasta – akurat łapanka. Zagarnęli nas gestapowcy i zapędzili na podwórze Arbeitsamtu. Na miejscu komisja i selekcja. Kazimierza zwolniono, a mnie zatrzymano – podałem się jako ślusarz. Przedtem zniszczyłem legitymację nauczycielską i dowód szewca. Następnego dnia pędzą nas na dworzec. Mamy jechać do Niemiec. W drodze zamieszanie – pozostałem w tłumie i wolny wróciłem na Srebrzyńską. W domu krótka narada – nazajutrz więzę swoje manatki i Kazik odprowadza mnie do granicy Generalnej Guberni. W samo południe strażnicy na granicy zeszli na obiad, to przemknąłem się do Guberni. W Guberni kursowały pociągi. W Warszawie odnajduję brata. Bolek jako mistrz fotograf z Poznania miał w Warszawie znajomości, więc szybko się zagospodarzył. Na placu Trzech Krzyży wynajął kąt w jednym sklepie spożywczym i urządził małe fotolaboratorium. Po Żydach dostał mieszkanie. Miałem chwilowe schronienie. Warszawiaci przychodzili uchodźcom z pomocą. Jako nierejestrowany oficer otrzymywałem przez pewien czas w firmie „Braci Pakulskich” obiady. Hitlerowcy szaleją na ulicach Warszawy. Codziennie łapanki i terror.

Żona z dziećmi mieszka nadal w Chrośnie nad Gopłem. Różne miała wiadomości o mnie, więc napisała do włoskiego Czerwonego Krzyża i otrzymała wiadomość, że znajduje się w niewoli niemieckiej. Znów ma kontrolę w domu – teraz pokazała im to zawiadomienie. Dlatego następnej nocy wywieźli ją z dziećmi do Skarżyska. Z domu pozwolili zabrać tylko po jednym jaśku

dla dzieci – Zbyszek liczył 2 i pół roku, a Celinka roczek. W Skarżysku wypuścili żonę z dziećmi na łaskę losu. Polski Czerwony Krzyż umieścił ich w mieszkaniu kolejarza. Otrzymałem list: co teraz robić? Poszedłem pożegnać i podziękować Firmie za pomoc. Na to pani M..... w imieniu Braci Pakulskich po krótkiej naradzie wręcza mi paczkę i kilka złotych na bilety. Rozkazała: jutro pojedzie pan po żonę z dziećmi, reszta nasz kłopot. Do Skarżyska przyjechałem w nocy.

W Skarżysku pierwszy raz powitałem córeczkę Celinę. Rano ruszyliśmy w nieznane do Warszawy. Na dworcu oczekuje na nas p. M. [nazwisko nieczytelne – *przyp. red.*] Wręcza nam adres naszego mieszkania, tj. ul. Tamka 4, Dom Akademicki nad Wisłą. Firma Braci Pakulskich wspiera nas nadal. Teraz zaczynam starać się o pracę. Zawędrowałem do Sokołowa – Węgrowa. Tutaj ani mieszkania, ani pracy. Po drodze wstąpiłem do Inspektoratu Szkolnego. Wychodzi inspektor Polak – przedstawiam się i pytam o pracę. Niestety, biadoli. Wtem wchodzi inspektor Niemiec i wtrąca się do naszej rozmowy po niemiecku. Pyta, jaki mam interes. Zaczynamy rozmawiać po niemiecku. Prosi mnie do swego gabinetu i ofiaruje mi kilka posad do wyboru. Wybieram najskromniejszą 1 klasówkę – dziwi się – w wiosce Barchów Gm. Łochów nad rzeczką Liwiec około 30 km od Warszawy. Dokumentów nie posiadam żadnych. Nazajutrz pojechałem do szkoły. Odwiedziłem sołtysa nazwiskiem Powierza. U państwa Powierzów stołowałem się. Posada mi się podobała. Do szkoły należało pół ha ogrodu – w sam raz na okres wojny. Planowałem rozkład dla rodziny. Rozpocząłem normalne lekcje, a w okresie tygodnia nakupiłem od gospodyń jaj, od mojej gospodyni bochen razowego chleba i na niedziele wiozłem to do Warszawy. Rodzina mieszkała nadal na Tamce. Po dwóch miesiącach otrzymuję wezwanie do inspektoratu. Inspektor żąda dokumentów. Tłumaczę, że wszystko w czasie wojny straciłem. Wierzy, ale mówi: przecież w Warszawie znajdzie pan kogoś, kto panu poświadczy, że jest pan nauczycielem. W naszym gmachu mieszka trzech nauczycieli, ale od kogo mogę wymagać, aby narażał swoje życie? Na murach wiszą wezwania i groźba: „kto

z byłych oficerów nie zgłosi się do rejestracji, tego czeka kara śmierci”. Po pół roku wzywa mnie powtórnie inspektorat. Rozmawiam z zastępcą – inspektor Polak. Oświadcza mi poufnie, że Schulrat już wszczął dochodzenie – kim ja naprawdę jestem. Wobec tego podziękowałem za wiadomość. Wróciłem do szkoły, zabrałem swoje manatki i powróciłem do Warszawy. Do inspektoratu napisałem, że rezygnuję z posady, bo za pobory nauczycielskie nie jestem w stanie utrzymać rodziny.

Teraz żona otrzymała posadę nauczycielską w Stanisławowie – około 20 km za Warszawą. Ja kombinuję dalej. [...] Brat rezerwuje dla mnie aparat fotograficzny, ale na dalszy sprzęt brakuje pieniędzy. Znalazłem współnika nazwiskiem Acki – Estończyk. On dał pieniądze, a ja szyld i otworzyliśmy zakład fotograficzny. Z biegiem czasu zarabiam na życie. Janka z dziećmi w Stanisławowie i co sobotę przyjeżdża po „górala” (500 zł) na życie. U dzieci figuruje teraz jako wujek. [...]

W Warszawie terror. Żydzi zostali wyjęci spod prawa; głodzeni i mordowani. Dużo pomocy niosą im Polacy, narażając swoje życie. Do zniszczenia Żydów hitlerowcy posługują się pomocnikami. To są szulisi (Litwini) i własowcy (Ukraińcy), którzy pełnią straż przy murach getta. Strażnicy bez pardonu strzelają do Żydów.

W akademiku zamieszkujemy dalej. Zajmujemy jeden pokój. Oprócz mnie są szwagierki Zosia i Ada, która pracuje za mną jako retuszerka, a Zosia w zakładach krawieckich. W Guberni na wschód od Warszawy hitlerowcy koncentrują masy wojska i przygotowują się do uderzenia na Sowiec. Wreszcie ofensywa. Pędzą Sowiec aż pod Moskwę i Leningrad.

W niedzielę palmową – zdaje się, że pada śnieg – a to w getcie powstanie. Żydzi, nie mając już żadnej nadziei, chwycili za broń. Wspomagali ich Polacy. Hitlerowcy zgromadzili czołgi oraz artylerię i zrównali getto z ziemią. Zginęło tysiące Żydów.

Następnie rok 1944 – klęska hitlerowców na wschodzie i zachodzie. Przez Warszawę cofają się kolumny hitlerowców. W Warszawie powstanie. AK odnosi początkowo sukcesy, ale hitlerowcy sprowadzają poważne siły. Polakom zabrakło broni i amunicji i zmuszeni zostali do kapitulacji.

Znalazłem się w Stanisławowie i tutaj mniejsze oddziały cofających się Niemców zostały rozbrojone. Gdy nadeszły większe oddziały hitlerowców, to Polacy rozbiegli się po lasach. Janka mieszkała z dziećmi w szkole. Warszawa się pali – powstanie gaśnie. Od strony Warszawy hitlerowcy pędzą gromadę mężczyzn ujętych w łapance i tu, przy szkole, tworzą obóz przymusowej pracy, a swój sztab lokują w szkole. Jestem z rodziną na miejscu, udaję, że jestem kierownikiem tej szkoły. Włączają mnie do pracy jako tłumacza. Na podwórzu zwożą dużo sprzętu, a z lasu stopy drewna i kuchnie polowe. W wiosce popłoch, rekwirują krowy i świnie. Sztab ma oddzielną kuchnię. Dla sztabu musi gotować szwagierka i żona. Mam wyszukać fachowców, którzy będą ostrzyć piły do rżnięcia drewna. Z kłoców rzną najpierw siedzenia dla siebie. Ustawiają siedzenia na podwórzu i rozpoczyna się praca, a raczej opowiadanie kawałów. Fachowcy, co ostrzą piły, to przeważnie inteligencja. Sztabowcy z całą gromadą mężczyzn na polu kopią okopy. Na froncie zachodnim i wschodnim Niemcy się załamują. Ukazują się sowieckie samoloty. Obserwujemy powietrzną bitwę nad naszym obozem. Nasi sztabowcy uciekają ze szkoły do rowów – tę chwilę wykorzystuje Zosia – zabiera im kilka dowodów osobistych i z butli ulewa 3 litry spirytusu. Po kilku dniach na tutejszym odcinku pracę kończą. Wszystkich ludzi z obozu ładują na pociąg. Zabierają także nas z całą rodziną. Przywieźli nas w okolice Królewca – tutaj już blisko front – grzmiały armaty. Zwracam się do komendanta obozu: ja tu mogę pozostać, ale co z dziećmi? Po krótkim rozważaniu wręcza mi pisemne zwolnienie z obozu dla całej rodziny. Właśnie pociąg przywiózł żołnierzy. Komendant mówi: siadajcie do pociągu i jedźcie do Poznania. Obsługa pociągu – sami Ślązacy – wręczam im litr spirytusu. Serdecznie sobie popili i zasnęli na rowie obok pociągu. Trudno było ich dobudzić. Wreszcie idziemy przez Olsztyn, Toruń i jesteśmy w Poznaniu.

Uradowanie, że dobiliśmy do Poznania! Tasczymy worki z resztkami naszego dobytku. Przed stacją czekają dorożki. Proszę dorożkarza, żeby nasze worki zawiózł na ulicę Kolejową. Dorożkarz: dobrze, ale muszę posiadać zezwolenie

z dworcowej policji. Policjant czyta nasze zwolnienie z obozu pracy i rzecze: najpierw zawiozę was do obozu przejściowego i tam wypoczniecie. Oświadczam mu, że w Poznaniu mamy rodzinę, że najpierw chcemy rodzinę odwiedzić. Zgodził się, ale nasz dobytek musimy pozostawić w przechowalni. Kwit z przechowalni zabrałem. Odprawił nas do wyjścia i przykazał, że jutro rano musimy wrócić, to nas odwiezie do obozu – nowy kłopot. Wreszcie witamy się z rodziną, ale mówimy o naszej sytuacji. Włodek bierze ode mnie pokwitowanie, dobiera jeszcze jednego kolejarza. Jadą wózkiem i przywożą nam rzeczy. [...] Dzielimy się na dwie grupy – część zostaje na ulicy Kolejowej u Włodka, a część u brata Kazimierza. W Poznaniu trudno jest przetrwać. Każdy dom ma opiekuna Niemca. Nie chcemy narażać rodzin. Dowiadujemy się, że brata Jana z Domaśławka wywieźli z rodzina do Wrocławia, na przymusowe roboty. W Poznaniu u brata Kazimierza opiekunem jest gestapowiec, znajomy sprzed wojny. Uzgodnili z bratem, że najpewniej dla nas, abyśmy Poznań pożegnali. Gestapowiec odprawił nas na dworzec – wykupił dla nas 6 biletów w stronę Wrocławia.

Jedziemy w stronę dal. W podróży nikt nas nie kontroluje. Z Wrocławia autobusem dojeżdżamy na peryferie (Swojec – Gunterbrucke). Tu odnajdujemy rodzinę. Brat ranny (niewidomy) z pierwszej wojny światowej zajmuje mały pokój z kuchnią. Jest ich czworo, a nas sześcioro. Przymusowo idziemy wszyscy do pracy. Kobiety zbierają ziemniaki, mnie przydzielono do koni. Brat gospodarzy z dziećmi – Zbyszek 7 lat, Celinka 5 lat. Jest styczeń, front wschodni zbliża się do Wrocławia. Niemcy pakują się na wozy i uciekają. Wśród Niemców panika – na ulicach popłoch – po 3 rzędy wozów na ulicy. Hitlerowska propaganda działa. Nadjeżdżają hitlerowcy na motorze i krzyczą: Łódź znów w naszych rękach, za trzy dni wracamy!

Nas, obcokrajowców, pozostawiono początkowo na łasce. Zgromadziliśmy się wszyscy w piwnicy pod pałacem. Żywego inwentarza nie zdążyli zabrać. Na podwórzu stado krów. Dla nas zaczyna się „Ameryka” – bijemy kaczki i kury.

Po kilku dniach dobro się kończy. W nocy przyjeżdżają hitlerowcy na motorach. Odnależli

nas w piwnicy. Są pijani, wyrzucają nas z piwnicy i musimy stado krów pędzić do rzeźni. Zamykają nas razem z bydłem. Wymusiłem od kierownika rzeźni przepustkę, rzekomo wracamy po resztę krów. Uwierzył. Otrzymałem zezwolenie (na 8 osób) na przejście do Swojca. Wracamy ucieszeni – miasto wyludnione. Cieszymy się, że dla nas zaczyna się wolność. Dochodzimy do mostu na Sępólnie, a tu wyłaniają się żołnierze. Zbliży się oficer: co to za banda? Odpowiadam po niemiecku i okazuję zaświadczenie, że idziemy po krowy – opowiadam. – W Swojcu są już bolszewicy. Pyta, czy jestem Niemcem? Skąd umiem po niemiecku? – Jestem rodem z Poznania. Egzaminuje mnie: czy znasz taką a taką ulicę w Poznaniu? Wreszcie mówi: jestem również poznaniakiem.

Przez most już nikomu nie wolno przechodzić. Jest zaminowany. Tłumaczę, że na Swojcu pozostawiliśmy swoje rodziny. – Przez most was przeprowadzę. Idziemy za nim zygzakiem. Po przejściu oświadcza, że jeżeli za pół godziny nie wrócimy, to już nas przez most nie przepuszczą. Jesteśmy upewnieni, że znajdujemy się na wolności. Już w Swojcu znów Niemiec nas aresztuje – prowadzi do karczmy, a tu cały patrol pijanych Niemców. I znów: co za banda? Ustawiają pod ścianą i biją. Pokazuję zaświadczenie, że przyszliśmy po krowy. Po namyśle każą nam przenocować i zgłosić się jutro rano. Odszukujemy nasze rodziny w piwnicach. Gromadzimy się w jednym budynku i planujemy uciekać na wschód. Nazajutrz wcześniej rano szukają nas i znajdują. Teraz od razu pędzą nas w stronę miasta do obozu na ulicę Fiołkową. Tutaj sprowadzają ukrywających się różnej narodowości.

Gdy nazbierają ok. 300 osób – tzw. trek – to pędzą na zachód. W obozie zachorował Zbyszek – uprosiłem, aby przeczekać kilka dni. Wreszcie 10 lutego 1945 r. ładują nas do pociągu. Dojechaliśmy do Dzierżoniowa. Na dworcu wysiadka, a do pociągu ładują Niemców. Zbiórka przed dworcem – wszystkie rzeczy każą złożyć w jedną kupę, a ludzi prowadzą niby na nocleg. Hitlerowcom oświadczyłem, że z małymi dziećmi zostanę na dworcu. Mianowali mnie stróżem pozostawionych rzeczy. Ze mną została żona, a całą gromadkę ludzi popędzili naprzód. Nad ranem uciekło dwóch Francuzów z gromady. [...]

Uciekinierzy Niemcy przed dworcem pozostawili wózki. Wybrałem jeden z najlepszych i wsaadziłem dzieci na wózek. Wchłonął nas następny trek i teraz pędzą już nas na zachód.

W Wałbrzychu nocujemy w teatrze. Idziemy dzień w dzień. Ja ciągnę wózek z dziećmi. Jest duży mróz i śnieg. Przed nami Francuzi – trzech mężczyzn i kobieta, mają wózek o dwóch kołach. Pod górę zawsze jeden z nich podchodzi do mnie i pomaga ciągnąć. [...] Cały dzień idziemy, a zawsze na noc zapędzają nas na nocleg do jakiejś cegielni itp. Już mają takie punkty przygotowane – czasem jest nawet słoma – tu otrzymujemy zupeł z brukwi. Wcześniej rano pobudka. Każdy otrzymuje trochę czarnej kawy i kawałek suchego chleba i cały dzień marsz.

21.3 Doszliśmy do obozu. W obozie dwupiętrowe łóżka. Nasze lokum na pierwszym piętrze. Leżymy na deskach bez słomy – gryzą nas wszy. Przez obóz płynnie rów. Janka wyprała sweter z białej wełny i wywiesiła na kolczaste druty. Na słońcu wszy ożyły i tyle tkwiło w wełnie, że sweter przyjął kolor szary.

Pożywienie raz dziennie. Wszyscy musimy opuścić barak i maszerować w trójkach wokół dziedzińca. Wreszcie wynieśli kany z zupą. [...] Każdy trzymał blaszankę od konserw i otrzymał swoją porcję. Powrót do baraku – przy furtce stał kapo i zwykle mężczyzn odsuwał na pobocze. Raz odsunięto i mnie także, ale gdy ładowano na samochody, kapo był dla mnie łaskawy, schowałem się za kobiety, aż samochody odjechały. Ci, których hitlerowcy zabrali, już nigdy nie wracali.

Raz zaryzykowałem zdobycie jedzenia. Gdy wartownik manewrował wokół kolczastego drutu, zbliżyłem się do niego i mówię, że pragnę kupić kilka kartofli. Kiwnął głową i pomaszerował dalej. [...] Poszliśmy do pobliskiej wioski. Chodzę od chaty do chaty – w ręce trzymam pieniądze i proszę o sprzedaż kilku kartofli. Prawie każda gospodyni rzuciła mi do torby kilka kartofli, a pieniędzy nie wzięła. W jednym domu dostałem nawet kawałek słoniny. Uebrałem sporo kartofli i tą samą drogą wróciliśmy do obozu.

Wreszcie zbliża się koniec wojny. Przeważnie nocą słysząc eskadry samolotów, które bombardują. Pewnego ranka słyszymy artylerię i ukazują

się czołgi – to Amerykanie – czołgi walą wprost przez druty kolczaste do naszego obozu. Gestapowcy porzucili w obozie broń i uciekli. W obozie radość i ruch. Nieopodal na torach stoją pociągi. Nasze bractwo rozbija stojące wagony i zabiera, co popadnie. Niemcy posiadali tutaj duże magazyny, dobrze zaopatrzone. Na przykład stoi duży magazyn, ale silnie zabarykadowany, więc chłopcy wdrapują się po piorunochronie na pierwsze piętro – oknem dostają się do środka. Są krążki wędzonej wątrobianki. Gromada głodnych czeka na zdobycz. Obok mnie Włoch i stary Niemiec. Chłopcy rzucają krążki – jeden leci na nas – chwytamy w powietrzu. Niemiec uchwycił połowę – ja najmniej – Włoch rozkazuje, żeby Niemiec oddał i swoją częścią wali Niemca w twarz. Amerykanie tylko fotografują i śmieją się.

Niestety, z wycieńczenia choruję. Jestem w szpitalu w Erfurcie. Jestem zupełnie sparaliżowany. Leczy mnie doktor Jacob – Niemiec, ale pod nadzorem lekarzy Amerykanów, Janka z dziećmi mieszka prywatnie w Erfurcie u rodziny niemieckiej nazwiskiem Feist. Opieka w szpitalu dobra. Codziennie są u mnie sanitariuszki Amerykanki. Na moim nocnym stoliku zostawiają dużo czekolad. Codziennie odwiedza mnie Janka z dziećmi.

Po powrocie do zdrowia zorganizowałem szkołę dla polskich dzieci. Prócz Janki i mnie uczył jeszcze nauczyciel Ślązak. Amerykanie nas ubrali i dobrze odżywili. Na podstawie umowy jałtańskiej Amerykanie musieli wycofać się na zachód od Erfurtu. Polaków zabierali z sobą. Nam oferowali obywatelstwo Kanady. Nie umiem po angielsku i wróciłem do Polski. Pod koniec czerwca buchenwaldczycy organizują transport. Wsiadamy w Poznaniu – radość. Ja jeszcze chory. Po kilku dniach Janka wyjeżdża nad Gopło do Chrosny, ale po naszych rzeczach ani śladu. Do naszej szkoły nie mamy już po co wracać, więc przyjeżdżamy do Wrocławia. Organizuję szkołę w Swojcu (nr 7), zajmuję dom po żandarmie Niemcu przy ulicy Miłoszyckiej – gdzie w okresie wojny kopalіśmy okopy.

Tekst pochodzi ze zbiorów Centrum Dokumentacyjnego Ośrodka "Pamięć i Przyszłość"